

Jak wywiad, to wywiad...

Rozmowa nagrana 18 czerwca 1979 r., jest zapisem audycji radiowej Ireny Heppen i nieżyjącej już Teresy Kalińskiej w II Programie Polskiego Radia z cyklu *Jak zostać żurnalistą radiowym*, nagrywanego w latach 1977–1981. W audycjach tych znane osoby, skojarzone w pary, przeprowadzały ze sobą nawzajem wywiady.

Prof. Klemens Szaniawski, filozof, logik, etyk, matematyk, socjolog, były dziekan Wydziału Filozofii i Socjologii UW.

Prof. Andrzej Łapicki, aktor, reżyser, wykładowca.

Klemens Szaniawski: No i co?

Andrzej Łapicki: Nie wiem.

K.S.: No dobrze, jak wywiad, to wywiad. Wyobrażam sobie, że trzeba wprowadzić wygłoszenie.

A.Ł.: Zwyczajnie żurnalista zaczyna tak: „Nie potrzebuję państwu przedstawiać”, co jest strasznym banałem, albo mówi, z kim będzie rozmawiał. A może byśmy zaczęli zadawać najgłupsze pytania: imię, nazwisko, zawód?

K.S.: To raczej śmieszne przedstawiać siebie, bo twój głos jest przecież znany. Polskie Radio zorganizowało dla nas rodzaj happeningu, którego smak jako reżyser chyba docenisz: spotkanie po latach.

A.Ł.: Ale ja już mam pytanie...

K.S.: Ach, masz...

A.Ł.: No, siedzi tutaj dwóch starszych panów, którzy do czegoś doszli. Spytam więc, dlaczego każdy z nas poszedł tą, a nie inną drogą.

K.S.: Rzeczywiście, wybraliśmy już wtedy, kiedy widywaliśmy się systematycznie, czyli w szkole, ale ja nie znam twoich motywów. Ale zaraz, a kto kogo pyta? No dobrze, pytanie było twoje, no to już, ja odpowiadam.

A.Ł.: Imię, nazwisko, profesja.

K.S.: Zaraz widać, że ty z profesorskiej rodziny... Wobec tego tak: Klemens Szaniawski, logik. Pracuję na Uniwersytecie Warszawskim. Od dawna. Właściwie od zawsze. Od trzydziestu lat. I to by wyczerpywało sprawę. A teraz pytanie, które zadałeś. Nie ma co udawać, że go nie było.

A.Ł.: Tak. Pytałem, dlaczego poszedłeś w tym kierunku?

K.S.: To wypadkowa różnych czynników. Nie jestem z tych, co od samego początku wiedzieli, co ich interesuje. I że właśnie to, a nie nic innego. Mnie mnóstwo rzeczy interesowało. Zupełnie przeciwległych: i filologia, i matematyka. Nawet studiowałem matematykę. No, a potem filozofię. A że w tej filozofii to miałyby być w szczególności logika, tego długo jeszcze nie wiedziałem. Zajmowałem się etyką. Byłem nawet do 1952 roku asystentem Marii Ossowskiej. Potem jednak tak się jakoś ułożyło, że nie było już możliwe kontynuowanie tej asystentury. Wtedy przypomniałem sobie, że jestem matematykiem. I że logika to też coś nadzwyczaj ciekawego.

A.Ł.: Powiem ci, że mnie twój wybór wcale nie dziwi. Mogłem się po tobie tego spodziewać.

K.S.: Hm, ciekawe dlaczego?

A.Ł.: Byłem pewien, że wybierzesz coś humanistycznego. To szalenie mi do ciebie pasuje. Przecież doskonale pamiętam cię ze szkoły. Siedziałeś w pierwszej ławce, w środkowym rzędzie. I te nasze nieszczęsne pumpy pamiętam. A ja siedziałem z tyłu, trochę na ukos...

K.S.: ...bliżej okna.

A.Ł.: Niedaleko studia, gdzie teraz siedzimy, na Myśliwieckiej. A gdybym zadał ci dosyć intymne pytanie, ale każdy je sobie zadaje: czy zadowolony jesteś z tego miejsca, w jakim teraz jesteś? Czy jesteś zadowolony ze swojego wyboru i czy spełniły się twoje oczekiwania?

K.S.: Masz rację, to jest jedno z głównych pytań, jakie sobie wszyscy zadajemy. No, i cóż, moja odpowiedź nie będzie ani wesoła, ani jednoznaczna: nie mam poczucia całkowitego spełnienia. Owszem, nie przeczę, coś z tego, co sobie zaplanowałem, udało mi się osiągnąć. Może jednak osiągnąłbym więcej, gdybym z taką radością nie zajmował się, co tu kryć, konsumpcją teraźniejszości. Między innymi oglądaniem ciebie w teatrze.

A.Ł.: Hm, to najsmaczniejszy kąsek!

K.S.: Bo ja nie jestem klasyczny typ uczonego. Mam inny temperament. Aczkolwiek uprawianie nauki sprawia mi ogromną przyjemność. To bez wątpienia dobra zabawa. Ale w życiu jest tak, że najpierw wszystkie drogi są otwarte, a potem się kolejno zamykają, zamykają, zamykają... I właściwie nie ma już innej drogi. Trzeba iść wciąż tą samą.

A.Ł.: Bo nie ma już żadnego wyboru.

K.S.: Wybory z biegiem lat stopniowo się obcinają. I kiedy myślę o tych, które zostały mi obcięte przez okoliczności, przeze mnie samego, przez moją nieświadomość, jak szybko możliwości wybierania bezpowrotnie przemijają, to czasami nie jestem pewien, czy nie byłbym szczęśliwszy, gdybym wybrał inaczej? Czasem żałuję na przykład, że nie zająłem się przeszłością, głęboką przeszłością.

A.Ł.: A czym konkretnie?

K.S.: Archeologią. Archeologia działa na moją wyobraźnię.

A.Ł.: Pewnie obrażę archeologów, ale to chyba bardzo użytkowy zawód.

K.S.: A właśnie. I też się w tej chwili zastanawiam, czy to rozsądny pomysł.

A.Ł.: Przecież ty pracujesz w sferze abstrakcji. I dlatego pewnie masz jakąś potrzebę kompensacji.

K.S.: Miałem słabość do humanistyki nieabstrakcyjnej. Fascynowało mnie wyobrażanie sobie życia przed wiekami, kontakt z przedmiotem. W logice tak nie ma. Logika absolutnie nie daje podobnych możliwości czy doznań. Ale przyznaję, że wszelkimi sposobami stanowczo zniechęcano mnie do filozofii. Gdyby mój ojciec wiedział, że zostanę filozofem, byłby przerażony. Widział we mnie inżyniera chemika. Taka była jego koncepcja.

A.Ł.: Przypominam sobie klasówkę z chemii u prof. Lewickiego. Cała klasa dostała dwóję.

K.S.: Mnie szczególnie to dotknęło. On od początku za mną nie przepadał. Jakżeż więc ja tę chemię miałem polubić? Ale naprawdę próbowałem i bardzo się starałem.

A.Ł.: A literatura? Nie myślałeś o literaturze? Ty, wnuk pisarza, syn dziennikarza?

K.S.: Nic z tych rzeczy! Aczkolwiek miłośnikiem jestem.

A.Ł.: Słuchaj, zadam ci pytanie, które sam sobie zadaję: jakie korzyści czerpiesz z kontaktu z młodzieżą akademicką? Co z tego masz?

K.S.: A, to dobre pytanie! Bo korzyści są ogromne. Mam otóż poczucie – tak nieskromnie powiem – że coś jej daję. Bo przecież, jak opublikuję jakiś artykuł, to przeczyta go, bo ja wiem, sto osób, może mniej. I tyle. A wykład, to co innego. Jeżeli w ogóle coś zrozumiałem z przedmiotu, którym się zajmuję, to myślę, że potrafię przekazać to w taki sposób, że odbiorca też zrozumie to, co i ja rozumiałem. To jest bezsporne, myślę, z punktu widzenia mojej użyteczności społecznej. Kogoś czegoś nauczyłem. Bardzo to sobie cenię. I ratuje to moje samopoczucie. Co zyskuję od młodych ludzi? A, to różnie z tym bywa. Miałem profesora, wielkiego uczonego – Kazimierza Ajdukiewicza. Powiedział mi kiedyś bardzo mądrą rzecz, że mianowicie on przez całe życie pisze jeden podręcznik, i to elementarny, dla studentów pierwszego roku. A przecież zawarł w nim bardzo głębokie pytania. Nie można się zadowolić prostym myśleniem: aha, już wiem o co chodzi, już rozumiałem... Trzeba przede wszystkim umieć to przekazać. Pod żadnym pozorem nie wolno myśleć tak: przeczytałem, byle jak przemyślałem i już mówię. Nie! Ze studentami to się nie uda.

A.Ł.: Zadałem ci to pytanie, bo sam mam podobny problem. Tyle tylko, że ja uczę czegoś bardzo niekonkretnego – aktorstwa. A zastanawiam się nie tyle nad tym, co ja im z siebie daję, ile nad tym, co oni mogą mi ofiarować. Ich obecność zmusza mnie do zdefiniowania stanów nieuchwytnych, pozornie niedających się zdefiniować. I przy okazji dzięki nim uświadamiam sobie wiele rzeczy.

K.S.: A nie masz wrażenia, że najwięcej korzysta się od tych, którzy nie są jeszcze zbyt dobrze wyedukowani, surowi? To ci, którzy jeszcze nie wiedzą, że pewnych pytań w ogóle się nie zadaje. Którym wystarczy odwagi – nie każdemu jej wystarczy – żeby zmusić człowieka do najwyższego wysiłku. Dla których nic nie jest poza dyskusją. Oni właśnie z czymś nieprawdopodobnym

wyskakują nagle na pierwszym roku. Bardzo ich zresztą do tego zachęcam. To stwarza wprawdzie kolosalne kłopoty, no ale jakież to bodziec! Nikt inny takiego bodźca nie da, bo wszyscy jesteśmy tacy grzeczni, tacy uładowani.

A.Ł.: Tak, naiwność i bezpośredniość jest spotykana tylko u najmłodszych. Ale zauważyłeś, że ciągle obracamy się wokół belferskich zagadnień?

K.S.: Poczekaj, może teraz ja popytałbym ciebie troszkę. Ale w ogóle nie wiemy, ile mamy czasu.

A.Ł.: Chyba pół godziny. I wytną z taśmy najciekawsze rzeczy.

K.S.: To powiedzmy jeszcze parę najciekawszych.

A.Ł.: A wiesz, że w tej rozmowie czegoś się o tobie dowiedziałem. I pewne podejrzenia potwierdziłem.

K.S.: To przejdźmy teraz do ciebie. Ja cię nie muszę przedstawiać. Słuchacze i tak natychmiast poznają po głosie.

A.Ł.: To ma swoje dobre i złe strony. Tak zwana popularność wpływa na psychikę.

K.S.: No więc idźmy tym tropem...

A.Ł.: Stara prawda: każdy młody aktor marzy o sławie. A potem podnosi wysoko kołnierz, wkłada ciemne okulary, żeby broń Boże nikt go nie poznał. Konieczność publicznego „trzymania twarzy” jest naprawdę potwornie męcząca. Aktor postrzegany jest jako kapłan, mag, czarodziej, ale mam wrażenie, że ranga tego zawodu jest raczej przesadzona. Trudno w końcu być na co dzień wzorcem, chodzącym ideałem.

K.S.: Mówisz o tym, jak ludzie ciebie widzą i że jesteś ciągle identyfikowany, obserwowany i oceniany?

A.Ł.: No i że tego obrazu nic nie powinno zamącać. Na przykład, co w tej chwili mówię, leciutko mąci. Nie powinienem taki być. A wywiady, których udzielamy... One są raczej nieprawdziwe, bo muszą współgrać z pewnym wzorcem czy stereotypem aktora. A ja się buntuję! Chcę powiedzieć trochę prawdy o tym zawodzie. I właśnie na owo zakłamanie czy dwoistość roli aktora wskazują studenci. Chociaż istotą tego zawodu, to fakt, jest kłamstwo. Dobre kłamstwo,

udawanie. Dlatego mówię im, że jest to zawód okrutny, straszny, niszczący charakter i psychikę. A przecież o tym nie wypada mówić.

K.S.: Powiedziałeś, jak ludzie cię widzą, to teraz powiedz, jak ty, jako aktor, widzisz ludzi. Co to znaczy być człowiekiem teatru? Czy patrzysz na ludzi jak na potencjalne tworzywo, aktorskie czy reżyserskie? Pewnie widziałeś film Zannussiego, w którym bohater, młody aktor, odwiedza chorego ojca. A odwiedza go wyłącznie dlatego, że przygotowuje się do roli starego człowieka.

A.Ł.: To wielkie uproszczenie. Oczywiście, zdarza się, że trzeba różne fakty, przeżycia, reakcje rejestrować, bo gdzieś kiedyś być może to się nam przyda. Ale aktor tak przecież na świat nie powinien patrzeć. Ja patrzę raczej na świat jak na wielką widownię. I myślę, że coś jestem jej winien. Próbuję wyczuć, co ludzi interesuje i z czym mam prawo i obowiązek do nich wyjść. Myślę, co im jest potrzebne w tej chwili. Przecież po coś przychodzą do teatru. Żeby na przykład zobaczyć siebie, swoje sprawy, w innym wymiarze. Zastanawiam się, o czym myślą, jakie mają realne problemy ze sobą, ze światem, z historią. Ludziom trzeba coś wytłumaczyć albo po prostu jakoś ich podrażnić, zdenerwować, pobudzić do myślenia lub wzruszyć. To o czym mówię, powinni zobaczyć na scenie. I to właśnie jest mój obowiązek jako aktora i reżysera. Tylko czy ja aby za dobrze nie myślę o sobie? Bo to, co mówię, bliskie jest pewnej nieprawdy, pewnego lukru. A czy patrzy się na świat jak na tworzywo? Bo ja wiem? Wszystko, co robimy na scenie, powinniśmy mieć w sobie, w swojej wyobraźni.

K.S.: A skąd się to bierze w twojej wyobraźni?

A.Ł.: Z literatury i ze sposobu patrzenia na świat.

K.S.: A jednak!

A.Ł.: Ale nie w sposób, o którym przed chwilą mówiliśmy. Nie myślę: o, jaki ciekawy człowiek, ciekawy, więc ja mu się przyjrzę uważniej, bo może mi się przydać, jeśli kiedyś kogoś podobnego zagram. Nie! To raczej wynika ze sposobu patrzenia na wszystko, na wszystkie zjawiska. Z jakiejś syntezy.

K.S.: A jak przygotowujesz spektakl? Jaki jest w nim, i w tobie oczywiście, udział zwerbalizowanej refleksji, namysłu nad strukturą utworu, a w jakiej mierze pracujesz, powiedzmy: intuicyjnie?

A.Ł.: Bardzo trafne pytanie! Ale kolejność jest odwrotna. W utworze coś musi być, jakiś dźwięk, jakaś nuta, która mnie poruszy, i spowoduje, że chciałbym to zagrać, zobaczyć na scenie. Dopiero później zadaję sobie pytanie: dobrze, chcę to wystawić, ale po co? Co ja chcę ludziom powiedzieć? Zaczyna się więc od intuicyjnego drgnięcia, a potem przychodzi namysł, refleksja i wreszcie konstrukcja.

K.S.: Ciekawe, czy pamiętasz pewną swoją rolę w przedstawieniu według opowiadania Iwaszkiewicza *Nowa miłość*. To był monolog wewnętrzny...

A.Ł.: ...mężczyzny, który czeka na kobietę...

K.S.: ...i waha się, czy otworzyć drzwi nowej miłości. Jak skonstruować taką rolę? Karkołomnie trudne. Pozornie przecież nic się nie dzieje. A jednak działać się musi.

A.Ł.: Cieszę się, że zapamiętałeś to przedstawienie. Jestem zwolennikiem precyzyjnego konstruowania roli. Rola musi być przemyślana do przecinka. Jestem wrogiem metafizyki w teatrze, i żywiołowości czy pewnego szaleństwa. Chociaż przyznaję, czasem mi tego właśnie brakuje. Może to rodzaj mojego defektu, jakiś mankament. Może wszystko, co robię, jest trochę – przepraszam, że użyję przy tobie tego określenia – zbyt logiczne, za mało szalone. Zazdrość aktorom, którzy mają w sobie cień szaleństwa. Pewnie i mnie by się ono czasami przydało.

K.S.: Odpowiedziałeś w tej chwili na pytanie, które dopiero teraz miałem zamiar ci zadać: czy jest coś, co cenisz w innych aktorach, a czego brakuje tobie? Jest coś, czego zazdrościsz?

A.Ł.: A jest! I to mi oczywiście zamyka pewien krąg repertuaru i pewien krąg ról. Dlatego próbuję iść inną drogą. Swoim uczniom zawsze powtarzam, że w tym zawodzie najważniejsze jest samookreślenie. Wciąż trzeba sobie zadawać pytanie: co ja chcę powiedzieć, w jaki sposób, w jakim repertuarze, i wreszcie – kim ja w ogóle jestem? Kiedy już to wiem, dopiero wtedy mogę zająć jakieś miejsce w tym zawodzie. Nie można miotać się przez całe życie.

K.S.: I znów wyprzedzasz... Powiedz: czy dobrze jest powiedzieć o aktorze: no, on może zagrać wszystko? Czy mocno zarysowane *emploi* oznacza silniejszą indywidualność? Czy w dobie specjalizacji nie jest to jakaś wyższość, zaleta?

A.Ł.: Oczywiście, tak uważam i mocno w to wierzę. Ale jestem w tym raczej odosobniony. W naszym środowisku za komplement uchodzi powiedzieć o aktorze, że może zagrać wszystko. Nic błędniejszego! Jeżeli ktoś ma naprawdę coś do powiedzenia od siebie, to właśnie to jest najciekawsze i widać to ponad rolą. Najwięksi zawsze przebijali się ze swoją osobowością ponad tekst literacki. Dodawali od siebie coś nieokreślonego, ale własnego. Aktor powinien być niepowtarzalny. Wprawdzie przedstawia postać nakreśloną przez innego artystę, ale we własny, niepowtarzalny sposób. I właśnie dlatego nie może grać wszystkiego. Jeśli wydaje mu się, że potrafi zagrać wszystko, to znaczy, że nie naprawdę nie zagrał. Dla mnie taki aktor jest podejrzany. To nie aktor, to tylko znakomity udawacz. Nic więcej.

K.S.: Powiedz mi, czy zawód, który uprawiasz, interferuje z twoim życiem, z twoim sposobem przeżywania świata? Ale uwaga: to takie pytanie, na które masz prawo w ogóle nie odpowiedzieć. Nie jest znanadto dyskretne. Myślę sobie, że to może być przerażające, mieć zdolność przekonującego wyrażania uczuć. Czy wobec tego, jeśli coś w życiu przeżywasz, to twoja ekspresja może utrudnić ci przeżywanie? A może ułatwia? Nie wiem...

A.Ł.: To, o czym mówisz, chyba mi nie przeszkadza. Gorsza jest świadomość tego, co się czasem dzieje w najbardziej dramatycznych życiowych momentach. Takie wyostnione spojrzenie na wszystko. Rejestracja jakimś zawodowym zmysłem, jak to wszystko się odbywa: ta miłość, ta śmierć, jak się odbywają rzeczy ostateczne.

K.S.: Tego się obawiałem...

A.Ł.: Przyznam się, że kiedyś przeraziłem się samego siebie. Otóż byłem świadkiem pewnej dramatycznej sytuacji, ktoś płakał, łzy mu płynęły po twarzy, a ja patrzyłem, byłem naprawdę szczerze przejęty, a jednocześnie myślałem sobie: o, złe światło; trzeba tę lampę przesunąć... żeby twarz lepiej wyglądała! To mnie przeraziło!

K.S.: Uważam, że jest coś niezwykłego w tym, że aktorzy twojej miary dysponują takimi sposobami przekonującego wyrażania przeżyć, że ludzie, którzy się na co dzień z nimi stykają, mogą podejrzewać...

A.Ł.: ...Wiesz, ja w życiu bardzo źle kłamię. Wszystko po mnie widać. Aktorstwo jest zawodem, więc wszystko jest tu zaprogramowane, kontrolowane,

w życiu – przeciwnie. Kreacja jest sztuką dlatego, że jest obmyślona, skomponowana, zaplanowana.

K.S.: A jak dalece jest „sztuczną sztuką”? Może są jednak takie мгnienia oka podczas spektaklu, że kiedy grasz kogoś, to czujesz się nim?

A.Ł.: To byłoby patologiczne, ale jest możliwe. Są tacy aktorzy. Ale zazwyczaj tor życia i tor roli idą obok siebie.

K.S.: Widz też, bywa, tego doznaje. Ktoś kiedyś zwrócił uwagę, że widz jest świadomy, że jest w teatrze i równocześnie tę świadomość chwilami zatracą. Oscyluje między dwoma stanami. Co jest, nawiasem mówiąc, bardzo ciekawym przeżyciem. Te dwie rzeczywistości przenikające się wzajemnie...

A.Ł.: Tak, tak. Widz wie, że przedstawienie jest „na niby”, ale płacze naprawdę. Z aktorem bywa podobnie, ale trochę w to wierzy. To przypomina dziecięcą zabawę w Indian i policjantów. I powinno być darem natury aktora. Umiejętność uwierzenia. Ale uwierzenia tak płytkiego, że jak mama zawoła: czas na obiad, to aktor przestaje być Indianinem albo policjantem. I idzie na prawdziwy obiad.

K.S.: A da się to tak wykonać, jakby ktoś przekreślał kontakt?

A.Ł.: Tak, i można się tego nauczyć.

K.S.: A wymień jakiegoś aktora zagranicznego, bo polskiego pewnie nie wypada, którego cenisz najbardziej.

A.Ł.: Jestem pełen podziwu dla Laurence’a Oliviera. Uważam go za największego aktora świata. Każda jego rola jest doskonale zagrana. Podkreślam: zagrana. Czytałem kiedyś wypowiedzi jego przyjaciół, którzy zgodnie stwierdzili, że jest on największym aktorem świata, ale wszyscy zgodnie dodawali: wspomniały, tyle tylko, że cały czas gra! A ja, jako widz i jako aktor, lubię czasami zapomnieć, że to wyłącznie gra. Amerykańscy aktorzy filmowi: Dustin Hoffman czy Marlon Brando mają zwierzęcą wręcz zdolność identyfikowania się z rolą. Między aktorem i postacią nie ma żadnej szczeliny. Cudowne. Patrząc na nich, mogę uwierzyć we wszystko. Jeżeli widz także zjednoczy się z bohaterem, wówczas działa magia kina. Zupełnie inna jest magia teatru. A różnica jest taka, że w kinie zagrać może nieprofesjonalista, w teatrze – nie. Prawdziwie „sztuczna sztuka” jest tylko w teatrze.

K.S.: A dlaczego tak jest?

A.Ł.: W teatrze trzeba umieć grać. W filmie wystarczy być plasteliną, dobrym materiałem, z którego reżyser skomponuje wszystko. Wystarczy naturalny sposób bycia. Każda amatorka w końcu się rozplącze, jak naprawdę ostro popracuje się nad nią kilka godzin. A później zmontuje się jej łyzy z widokiem trumny... Powstanie wstrząsająca scena. W teatrze trzeba umieć się rozpląkać w wyznaczonej roli minucie, i nikt nam w tym nie pomoże. Zabrnęliśmy trochę...

K.S.: ...ale to naprawdę interesujące. Myślę, że o każdym zawodzie można opowiadać interesująco, ale twój jest wyjątkowy.

A.Ł.: Że jest w nim jakaś tajemnica?

K.S.: A jest! W każdej twórczości jest coś tajemniczego. Mnie wciąż fascynuje, że kompozytorowi przychodzą do głowy takie niezwykle rzeczy. Jak rodzi się w głowie coś tak zachwycającego, jak fuga, motet czy symfonia?!

A.Ł.: Akurat ty, jako logik, powinienes to wiedzieć. Muzyka i kompozycja są bardzo blisko matematyki.

K.S.: Podobno, ale nie mam w sobie żadnych muzycznych talentów, więc nie wiem, jak to jest.

A.Ł.: A w twoim życiu obecna jest muzyka?

K.S.: Tak, ale to wcale mi nie tłumaczy, w jaki sposób Bach napisał swoje fugi!

A.Ł.: Myślę, że w ogóle trudno to wytłumaczyć.

K.S.: A może jest tak, że obydwaj zdradziliśmy swoje korzenie rodzinne. Ale też coś przecież rodzinie zawdzięczamy.

A.Ł.: No tak. Ja na przykład pewną precyzję i – przepraszam cię, Klemensie – umiejętność logicznego rozumowania. Ale, jak powiedziałem, brakuje mi szczypty szaleństwa.

K.S.: Mówisz jak Grek Zorba. Chyba nie jest źle, że jesteś takim przedstawicielem swojego zawodu, takim człowiekiem teatru, który ma skłonność do myślenia pojęciowego.

K.S.: Zauważ: byliśmy w jednej klasie, a żaden z naszych nauczycieli nie przepowiedział nam naszej przyszłości? Dziwne, co?

A.Ł.: Raczej było odwrotnie. Czy pamiętasz, Klemensie, profesora Rybalskiego, który po jakimś występie powiedział kiedyś do mnie: no, aktor to z ciebie, Łapicki, na pewno nie będzie!

K.S.: Wyobrażam sobie, jak zapadło ci to zdanie w duszę!

A.Ł.: I tkwi do dziś. I tak się przejąłem, że rok później przygotowałem fragment z *Ludzi bezdomnych* i usłyszałem: no, ładnie, ładnie to powiedziałaś.

K.S.: No, to porozmawialiśmy sobie i myślę, że szczerze. Moim zdaniem nie-przyzwolicie szczerze.

A.Ł.: I chciałbym, żeby profesjonalny żurnalista kiedykolwiek tak ze mną zechciał porozmawiać.

K.S.: Toś mi wielki komplement powiedział, naprawdę. To raczej oczywiste, Andrzej, że ja częściej myślałem o twoim zawodzie niż ty o moim. Twój zawód stanowi przecież część każdego z nas. Jest zdomowiony w wyobraźni każdego człowieka. Ale dziękuję uprzejmie, mimo wszystko, bardzo jesteś łaskawy!

Redakcja:

© Irena Heppen

© Artur Negri